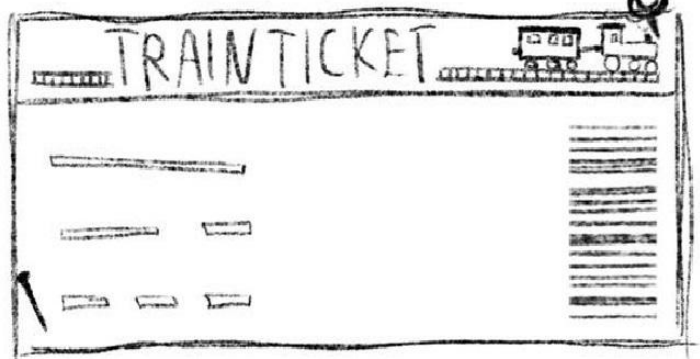
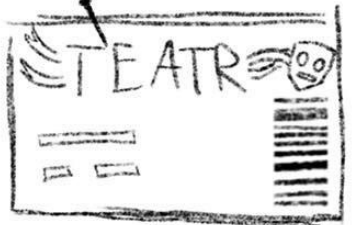
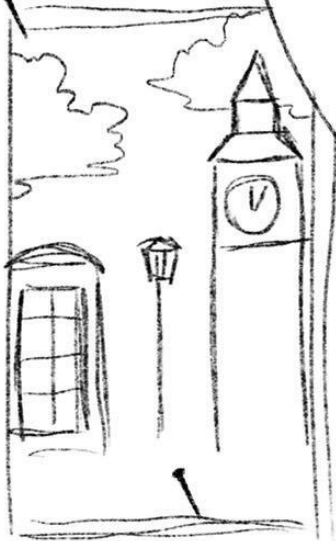
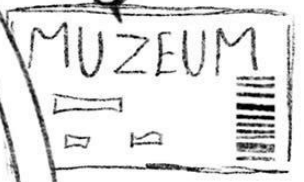
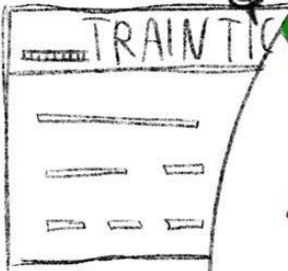
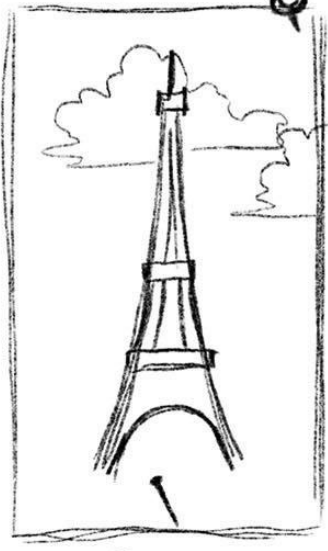


# ROZJAZDY

Numer 4 (specjalny)

## KWARTALNIK KOŁA TURYSTYCZNEGO





# Słowo wstępu

**K**oło Turystyczne ma nie tylko wielkie osiągnięcia w swojej historii. Żeby szybko wymienić: zdobyliśmy Koronę Poznania, wspięliśmy się na Skrzyczne podczas burzy, przetrawersowaliśmy Poznań! Ale mamy też wielkie plany. Przewijają się na przestrzeni lat różne pomysły – mniej realne, jak grupowe zdobycie najwyższego szczytu Polski, czy te urzeczywistnione, czego przykładem jest to pismo, które powstaje już od ponad roku!

Tym razem na łamy czwartego numeru trafił pomysł z gatunku ekstremalnych. Skoro udało nam się w jeden dzień pokonać dystans 42 547 kroków, to przecież i 40 076 kilometrów nie powinno być problemem. Idąc w ślady naszych patronów, oczywiście w inny sposób, niż to uczynili Leon i Tadeusz, jak również nie do końca trzymając się równika, udaliśmy się... w podróż dookoła świata! Zapraszam do zapoznania się z relacjami z tej niecodziennej wyprawy, które wypełniają specjalny numer pisma „RozJazdy”.

**Igor Stryniak**  
redaktor naczelny

## W numerze:

**Eurostopem do Nowego Jorku \_ s. 3**

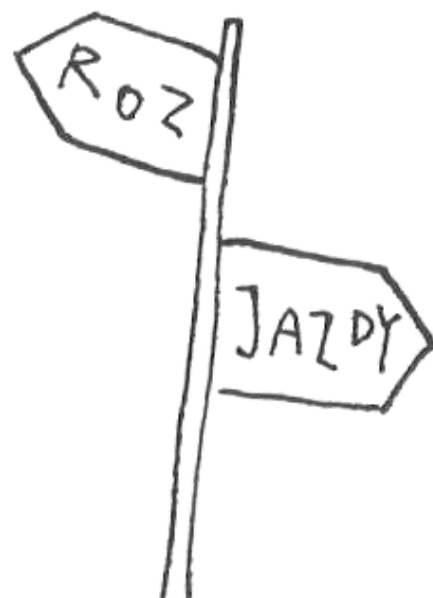
**Trawers przez USA \_ s. 10**

**W zimny horyzont \_ s. 17**

**Ocean historii \_ s. 22**

**Azja ekspres \_ s. 25**

**Na północ do domu \_ s. 29**





# EUROSTOPEM DO NOWEGO JORKU

**P**rzygotowania trwały miesiącami. Dobrze się złożyło – wszystkie te miesiące spędziliśmy na nauczaniu online, dzięki czemu mogliśmy jednocześnie „być w szkole” i zajmować się rzeczami naprawdę ważnymi. ;) W końcu jednak, po ustąpieniu z drogi wszelkich przeszkód (czyt.: rządowych obostrzeń), spotkaliśmy się, jak to mamy w zwyczaju, na placu Adama Mickiewicza. Tam czekał na nas autokar, którym mieliśmy dotrzeć do pierwszego punktu na trasie naszej podróży: stolicy Niemiec – Berlina. Była godzina 4.40, zaczynało robić się jasno. Wjechaliśmy na perłę naszej narodowej dumy: najdroższą autostradę na świecie i pomknęliśmy w stronę zachodniej granicy, oświetlani od tyłu promieniami wschodzącego słońca.

Z początku podróż przebiegała bez przeszkód. Zgodnie z naszą tradycją nie spaliśmy, tylko przystąpiliśmy do czytania książki Tadeusza Perkitnego o podróży naszych Patronów dookoła świata. Każdy z nas po kolei czytał jeden jej fragment. W towarzystwie tej fascynu-

jącej historii czas jazdy zleciał nie wiadomo kiedy. Po niecałych dwóch godzinach dotarliśmy do Świecka i zatrzymaliśmy się na ostatniej stacji benzynowej przed granicą w celu załatwienia potrzeb fizjologicznych oraz uzupełnienia ewentualnych zapasów, dopóki mieliśmy jeszcze możliwość zrobienia tego za złotówki. Po półgodzinnej przerwie zebraliśmy się wszyscy z powrotem w autokarze, usadowiliśmy się wygodnie i... nie ruszyliśmy. Jak się okazało, w czasie naszego postoju kuna przegryzła istotne kable w silniku autokaru, skutecznie go unieruchamiając. Na naprawę trzeba byłoby czekać kilka godzin...

Nie mieliśmy tyle czasu. Świat czekał na zdobycie! Rozliczyliśmy się prędko z panem kierowcą, wymieniliśmy ostatnie uprzejmości, zabraliśmy ze stacji parę niepotrzebnych kartonów i ruszyliśmy z powrotem w stronę autostrady. W naszych głowach powoli rodził się plan awaryjny. Jaki? Jak zapewne się domyślasz, Drogi Czytelniku – zamierzaliśmy złapać „autostopa”. Liczyliśmy się z tym, że będziemy musieli podzielić się na mniejsze grupki, w końcu Koło Turystyczne nie liczy sobie już jedynie kilku członków, jak to bywało w jego historii. Zanim jednak zdążyliśmy z dużymi kawałkami kartonów z wielkimi napisami BERLIN opuścić teren stacji, wtoczył się ogromny tir o dość nietypowym wyglądzie. Zamiast zwykłej naczepy miał bowiem solidnie wyglądającą budę z kilkoma okienkami rozmieszczonymi w różnych miejscach. Stanęliśmy zadziwieni, gdy tir zatrzymał się obok nas, a z jednego z okienek wychyliła się wesola i pulchna kobieca twarz.

– Hallo! Braucht ihr eine Mitfahrgelegenheit?

Spojrzeliliśmy po sobie przerażeni długością tego słowa. Nikt z nas nie wiedział, o co może chodzić. Kobięcina nieco się zirytowała.

– Wollt ihr nach Berlin?

To brzmiało już nieco jaśniej. Najpierw nieśmiało, potem coraz energiczniej pokiwaliśmy głowami, ktoś odważniejszy zawołał „ja!”.

– Also komm! – kobieta machnęła ręką i zniknęła we wnętrzu.





Po chwili usłyszeliśmy otwieranie się potężnych drzwi i głos dochodzący z tyłu: „komm!”. Okrążyliśmy więc budę i przez wysokie drzwi, stanowiące jej tył, ujrzeliśmy, że we wnętrzu znajdowało się podłużne mieszkanie – umeblowane staroświecko, ale wygodnie. Wtoczyliśmy się do środka. Kobieta zamknęła za nami drzwi i wskazała na liczne kanapy, puffy i poduszki rozstawione w pomieszczeniu.

– Setzt euch. Kaffee, Tee?

W ten oto niespodziewany sposób znaleźliśmy transport i nowych znajomych, którzy mieli towarzyszyć nam nie tylko do Berlina, ale i dalej. Z rozmowy z poczciwą kobietą, przy pomocy znajomości języków niemieckiego, angielskiego, tłumacza Google oraz podróznego słowniczka jednego z członków Koła, udało nam się dowiedzieć nieco o niesamowitym tworze, w którym się znaleźliśmy. Kobieta o imieniu Insel oraz jej mąż Karl po wielu latach podróży przez Europę „na tirze”, którego byli kierowcami, postanowili nie rozstawać się z nim na emeryturze, ale ściśle związać z nim swoje życie. Przerobili go więc na mieszkanie i w nim kontynuowali swe wojaże, często zabierając ze sobą po drodze zagubionych wędrowców. Tym razem szczęśliwie trafili na nas. Jak się okazało, następnym przystankiem małżeństwa miała być Kopenhaga. To pasowało do naszego planu podróżowania, z wdzięcznością więc przyjęliśmy propozycję dalszej wspólnej jazdy.

Pijąc kawę i herbatę, rozłożeni w wygodnych siedziskach, słuchaliśmy opowieści Insel o zwiedzonych miejscach, pilnie tłumaczonych dla nas przez wujaszka Google. Ani się obejrzelśmy, jak już byliśmy w Berlinie. Tutaj mieliśmy zatrzymać się do końca dnia, żeby nieco pozwiedzać stolicę kraju naszych nowych znajomych. Po dniu pełnym wrażeń, podróży metrem, zwiedzeniu muzeów i katedry, oglądaniu widoków z berlińskiej Fernsehturm oraz konsumpcji Currywurst i Döner Kebap – z przyjemnym zmęczeniem rozłożyliśmy się w śpiworach na podłodze mieszkania-tira, kołysani do snu dźwiękiem jego kół sunących po autostradzie.



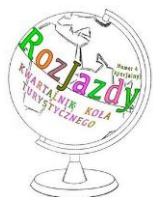


Na terminalu promowym

Kiedy się obudziliśmy, byliśmy już na miejscu. Insel dobrze znała Kopenhagę, ponieważ stamtąd pochodził jej tata. Z jej polecenia zwiedziliśmy więc najciekawsze zabytki i atrakcje tego miasta, takie jak: ogrody Tivoli (park rozrywki założony w XIX wieku!), Ny Carlsberg Glyptotek, Wyspę Zamkową, pałac i muzeum Rosenborg, kościół Marmurowy, zobaczyliśmy żółte domki pamiętające XVII i XVIII wiek (Nyboder) i pomnik Małej Syrenki. Na śniadanie były Smørrebrød (słynne duńskie kanapki), na obiad tradycyjny duński śledź, a na kolację Frikadelle (niewielkie okrągłe klopsiki) z sałatką ziemniaczaną. Noc spędziliśmy w tirze naszych przygodnych gospodarzy. Następnego dnia odwiedziliśmy z nimi jeszcze Den Blå Planet, czyli kopenhaskie akwarium, i zaczęliśmy szykować się do rozłąki. Insel i Karl wybierali się bowiem do Sztokholmu, my zaś planowaliśmy podróż dalej – na północ, wzdłuż wybrzeża Szwecji, do Oslo. Wcześniej, będąc na kopenhaskim terminalu promowym, zastanawialiśmy się nad skorzystaniem

z promu do Norwegii, ale nasi nowi znajomi zaoferowali inną atrakcję: transport ze stolicy Danii do Malmö. Przez most nad Sundem, czwarty pod względem długości w Europie! W Malmö przesiedliśmy się do kursowego autokaru, który dowiózł nas do kolejnego celu.

Osło zachwyciło nas swymi, widocznymi z daleka, pnącymi się w niebo wieżowcami. Także położenie tego miasta jest niezwykle – leży ono nad fiordem. Tak jak na stolicę Norwegii przystało! Jedno z najdroższych miast świata, wbrew powszechnej w Europie opinii, miało do zaoferowania sporo turystycznych atrakcji. Odwiedziliśmy Pałac Królewski, Operę Narodową (z dachu której rozciąga się piękny widok na panoramę miasta), ratusz miejski, Twierdzę Akershus, Muzeum Narodowe i Łodzi Wikingów. To ostatnie zrobiło na nas szczególne wrażenie – widok wikingów, które kiedyś niosły po morzach tych zdobywców lądów, był naprawdę imponujący.



Po wyjściu z muzeum zaskoczył nas niespotykany widok – dookoła kilku mężczyzn przebranych za wikingów zebrał się spory tłum. Po angielsku (mieszkańcy krajów skandynawskich w większości płynnie posługują się tym językiem) podpytaliśmy gapiów, o co chodzi, i dowiedzieliśmy się, że mężczyźni rzucili ludziom wyzwanie: kto ich pokona, miał wygrać specjalną nagrodę wartą wiele pieniędzy.

– To bogaci ludzie, nieraz już nas zaskoczyli – powiedziała nam staruszka w modnym kapeluszu.

– Dokładnie! Organizują to co roku. Nagrody zawsze są wspaniałe, ale tylko nielicznym udało się zwyciężyć w starciu z nimi – dorzucił podekscytowany młodzieniec.

– W tym roku chodzą słuchy, że nagrodą ma być jakaś wycieczka – konspiracyjnie szepnęła jego towarzyszka.

Wycieczka? Popatrzyliśmy na siebie nawzajem, zaciekawieni. Wizja darmowej wycieczki jak najbardziej pasowała do naszych obecnych planów. Nie wiedzieliśmy jeszcze tylko jednego.



– Powiedzcie nam, w czym trzeba pokonać wikingów?

– Jak to, w czym? W Time’s Up!

Na tę wiadomość na naszych twarzach pojawiły się szerokie uśmiechy. Time’s Up! Sztandarowa gra naszego Koła! Byliśmy pewni zwycięstwa. Wybraliśmy najlepszych przedstawicieli i zgłosiliśmy chęć uczestnictwa w konkursie. Niektórzy z obserwatorów patrzyli na nas z podziwem, inni z niedowierzaniem. Wikingowie przyjęli wyzwanie.

Nasi przedstawiciele ustawili się naprzeciw nich i wybrali kolor niebieski. Niezależny sędzia potasował karty i rozdał je uczestnikom. Odrzuciwszy po pięć najmniej pasujących, rywale oddali karty sędziemu, który rzucił monetą. Wypadł orzeł, zaczynała więc nasza drużyna.

Walka była zażarta, przeciwnicy naprawdę dobrzy. Po pierwszej rundzie mieli nad nami przewagę dwóch punktów. W drugiej rundzie szliśmy z nimi łeb w łeb, zostało niewiele haseł. Nadeszła kolej naszej drużyny. Gracz mówiący otarł pot z czoła. Sędzia obrócił klepsydrę. Nasz mówiący wystartował od razu, a nasza drużyna zgadywała hasło po hasle. Mała kupka w dłoni mówiącego prędko się skurczyła. Została ostatnia karta, co to będzie? Czy to już koniec, czy da nam zwycięstwo?

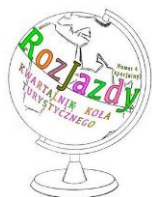
– Prysznic! – zawołał gracz mówiący.

– Joanna Brodzik! – wykrzyknęli nasi zgadujący.

I tak oto dokonało się! Pokonaliśmy wikingów w Time’s Up!

– Wielki szacunek – zwrócił się do nas najwyższy z przeciwników. – Byliście wspaniali! Jesteście wprawdzie dużą grupą, ale wywiążemy się z umowy. Wygraliście oto lot do Nowego Jorku!

Lot do Nowego Jorku! Nie chcieliśmy wierzyć własnym uszom. To było niesamowite! Rzuciliśmy się sobie w ramiona, skacząc dokoła w dzikiej radości.







Na skalnych szczytach

Na świętowanie nie było jednak czasu. Świat czekał na odkrycie! Wsiadliśmy wraz z wikingami do autobusu, by pojechać na lotnisko. Zanim tam dotarliśmy, zrobiliśmy krótki wypad pod Oslo, by nacieszyć się kontaktem ze skałami fiordu. Na lotnisku przeszliśmy od razu do miejsca, gdzie stały prywatne maszyny. Wysoki wiking wskazał nam okazały samolot pasażerski: – Wsiadajcie, przyjaciele!

Wpakowaliśmy się do środka i ułożyliśmy wygodnie na siedzeniach. Wysoki wiking wsiadł razem z nami – miał towarzyszyć nam podczas podróży. Pół godziny później wznieśliśmy się ponad Oslo, z zachwytem obserwując malejące w dole fiordy.

tekst: **Weronika Dolata**

# TRAWERS PRZEZ USA



**T**o naprawdę niesamowite uczucie. Nowy kontynent! I to jeszcze Ameryka! Przed kolejnym etapem naszej podróży wszyscy byliśmy mocno podekscytowani, w końcu do tej pory zwiedzaliśmy swojską i w miarę znaną Europę. Dopiero teraz z najbliższego sąsiedztwa ruszamy w naprawdę szeroki świat! Jeszcze zmęczeni morską podróżą, wybraliśmy się na zapoznawczy spacer po Nowym Jorku i kiedy na własne oczy zobaczyliśmy Statuę Wolności, ikoniczne przedwojenne wieżowce Empire State Building i Chrysler Building, a wieczór zastał nas na rozświetlonym Times Square, wiedzieliśmy, że polubimy USA! Drugiego dnia, już nieco spokojniej, powłóczyliśmy się po Central Parku, przeszliśmy przez Most Brookliński, a po drodze daliśmy się przekonać Igorowi, który jako miłośnik kolei zaciągnął nas na Great Central Station. Niby każdy z nas widział już duży dworzec kolejowy (np. w Mediolanie albo Berlinie), ale stojąc pośrodku głównego holu po prostu zaniemówiliśmy. Ze zdumienia wyrwał nas dopiero profesor Matuszewski, który przywołał kilka filmowych tytułów nakręconych w tym miejscu, a podczas dalszego spaceru kontynuował opowieść o tym, jak na Manhattan okiem kamery patrzył Woody Allen. Doświadczony miejski przewodnik po „mieście, które nigdy nie śpi” nie ułożyłby równie ciekawej gawędy, co pan profesor. Zostalibyśmy

w Wielkim Jabłku dłużej, ale to był dopiero początek naszej drogi przez północną Amerykę. Trzeba było ruszać dalej.

Podróż przez USA i Kanadę na etapie planowania nastreczyła nam wielu problemów i dylematów. Od początku wiedzieliśmy, że to jeden z etapów wyprawy dookoła świata, że czas na ten fragment mamy ściśle ograniczony i że musimy zmierzać na zachód, bo w bardzo konkretnym dniu i miesiącu z Anchorage na Alasce odpłynie statek i lepiej będzie, jeśli znajdziemy się na jego pokładzie. Z drugiej jednak strony, po szybkiej „burzy mózgów” zebraliśmy tyle miejsc, które chcielibyśmy zobaczyć... Przecież Stany i Kanada to nie tylko zupełnie inny świat, jeśli chodzi o miasta i sposób życia, ale też niesamowita różnorodność przyrodnicza. Sekwoje, aligatory, wulkany, gejzery, góry, oceany i plaże, pustynie, bajkowe formacje skalne – co zobaczyć, co pominąć, z czego zrezygnować? Głowiliśmy się nad tym długo, tocząc nad mapą zażarte dyskusje.



Młodsza część Koła Turystycznego, będąca za pan brat z internetowymi technologiami, stwierdziła kategorycznie: „nikt nie doradzi lepiej niż wujek Google”, a właściwe w tym przypadku to dziecko wujka, czyli kuzyn „Google Maps”. Szybkie kliknięcia i trasa z Nowego Jorku na Alaskę została wyrysowana w wersji najkrótszej, przez Chicago, Minnesotę i tysiące mil kanadyjski dróg. Opcja ta spotkała się ze zdecydowanym veto profesora Ciesielskiego, który stwierdził, że cokolwiek się będzie działo, drogę trzeba wytyczyć tak, żebyśmy zobaczyli pasmo Teton. Może nie wszyscy zostali przekonani od razu, ale pobliskie Yellowstone podziałało na wyobraźnię. Zatem korekta. Jako miejsce na trasie dodajemy jeszcze Crater Lake i już wiemy, że nasz szlak poprowadzi do Chicago, a potem dalej na zachód, jakby idealnie wzdłuż równoleżnika przez Nebraskę, Wyoming, Idaho, aż do Oregonu, kiedy to przyjdzie nam odbić na północ i wzdłuż wybrzeża Pacyfiku, przez Kanadę, aż do Alaski. Razem 5615 mil! Niestety, wychodzi na to, że nie odwiedzimy tych miejsc, do których przed stu laty dotarli Leon



Mroczkiewicz i Tadeusz Perkitny. Ich szlak wiódł zupełnie inaczej i Amerykę przyszło im trawersować w szerokościach geograficznych wysuniętych dużo dalej na południe niż nam – przez Brazylię, Argentynę i Chile. Stany Zjednoczone były dla naszych podróżników tylko krótkim epizodem w podróży. W drugiej połowie października 1927 roku statek „Ginyo Maru” dobił do brzegów Kalifornii, a potem zawinął na Hawaje. Trudno, jesteśmy przekonani, że Leon i Tadeusz i tak będą nam towarzyszyć!

Tak wyglądało wyznaczanie drogi i rysowanie palcem po mapie. Nakreślona pomiędzy amerykańskimi stanami linia teraz nabiera konkretnego kształtu, wsiadamy w wynajęty dla nas autokar i drugą co do długości autostradą w USA ruszamy ku przygodzie!

Przed nami Cleveland. Tutaj czas i atrakcje organizuje nam absolwent Koła Janek. Sam kilkukrotnie podróżował po Stanach Zjednoczonych, a że jest fanem koszykówki stwierdza kategorycznie: „USA nie będzie się liczyć bez meczu NBA”. Choć sportowe zainteresowania rozkładają się w naszej grupie różnie, to ufamy starszemu koledze i decydujemy się wygospodarować wieczór na mecz miejscowych Kawalerzystów z Chicago Bulls. Warto było zasiąść wśród prawie 20 tysięcy widzów i przekonać się, że mecz koszykówki w amerykańskim wydaniu to wydarzenie nie tylko sportowe, ale gigantyczne show, które (mimo początkowych oporów) zagwarantowało świetną rozrywkę całej naszej grupie. Okazuje się, że nadal „NBA is fantastic!”. Wyrównanym przebiegiem spotkania zdziwiony jest profesor Ciesielski, który nie może uwierzyć, że Chicago Bulls nie są już mistrzami, a po parkiecie nie biega Michael Jordan. Musimy boleśnie uświadomić naszego opiekuna, że lata 90. XX wieku bezpowrotnie minęły, świat idzie naprzód, a kolegą z drużyny Królika Bugsa nie jest już Air Mike, a LeBron James.

Chicago, to po Warszawie, drugie miasto na świecie, pod względem liczby polskich obywateli. Szacuje się, że w całej metropolii



mieszka od 1 do 1,5 mln Polaków i Amerykanów polskiego pochodzenia. Nie trzeba było wybierać się do polskich dzielnic, żeby z gwaru rozmów na stacji metra wyłowić swojskie „tej”. Okazuje się, że poznaniacy też dotarli za „wielką wodę”, mają się tu całkiem dobrze i w sympatycznej rozmowie wskazują nam ciekawe miejsca do zobaczenia. Cloud Gate i cały Millenium Park oraz Jezioro Michigan robią na nas bardzo miłe wrażenie. Powrót metrem wywołuje uśmiech na naszych twarzach, bo znów dzieje się coś, co już kiedyś przed laty się wydarzyło. Kiedy hrabia Władysław Zamoyski w maju 1881 roku wsiadł do tramwaju w San Francisco, kontrolę biletów przeprowadzili konduktorzy o swojsko brzmiących nazwiskach Dobrogojski i Brodowski, pochodzący z Wielkopolski. Oczywiście nas też o bilety zapytał rodak!



Zostawiamy za sobą wielkie miasta i konsekwentnie prac na zachód, zmierzamy na spotkanie z amerykańską przyrodą. Przyzwyczailiśmy się już do podróżowania naszym autokarem, podziwiania okolicy z perspektywy highway nr 80 i specyficznego poczucia humoru naszych kierowców. Następnym celem jest dla nas stan Wyoming i dwa tamtejsze parki narodowe. Łącznie w USA znajdują się 63 parki narodowe. Są świetnie zorganizowane, przygotowane na przyjęcie turystów, a wiele z nich oferuje cuda natury i widoki znane na całym świecie. Na pewno ze zdjęć, filmów czy podręczników kojarzycie kamienne łuki z Utah, kalifornijskie sekwoje, wulkany na Hawajach, strome ściany Yosemiteów, nie wspominając o Wielkim Kanionie.

My zaczynamy od Teton National Park i nim dotrzemy na miejsce, zrozumienie dla tego pomysłu jest niewielkie. Wszyscy wiemy, czego spodziewać się po Yellowstone, ale tutaj? Dopiero gdy wysiadamy z autokaru, zarzucamy plecaki na plecy i spoglądamy na horyzont, znów stajemy jak zamurowani. Z prawie całkiem płaskiej doliny wyrastają idealnie piękne i strome szczyty, które wyglądają dokładnie tak jak na rysunku przedszkolaka. Właśnie tak dzieci wyobrażają sobie góry!



Prof. Matuszewski i prof. Ciesielski komentują piękno Parku Narodowego Teton

Robimy wspólne, obowiązkowe zdjęcie przy szopie Tomasa Alma Moultona i – co ważniejsze – trzydniową przerwę w rajdzie przez Stany. To coś, czego nam było potrzeba! Spokojne włączenie się po górach z plecakami daje nam oddech i odpoczynek. Mimo że nie spotkaliśmy ani niedźwiedzia grizzly, ani łosia czy pumy, a bizony widzieliśmy tylko z daleka, to chwil spędzonych w górach nie zamienilibyśmy na nic innego. Z „polowania” zadowolony jest tylko Wiktor, który w obiektywie jak zwykle ustrzelił coś ciekawego, tym razem: okazałego amerykańskiego bielika.

Po Teton National Park czas na odwiedzin u misia Yogiego, czyli wizytę w Yellowstone, najstarszym parku narodowym na świecie. Jest tu pięknie, ale ruch turystyczny zdecydowanie większy, co powoduje, że czujemy się nieco zmęczeni. Ruszamy więc dalej na zachód, do Oregonu, nad Crater Lake. Tutaj szybka „odpytka” z geografii. Jakie typy genetyczne jezior znamy? Do jakiego typu możemy przyporząd-



kować to, które widzimy? Czym się charakteryzuje? Pięknie widoczna kaldera nie pozostawia żadnych wątpliwości, co do wulkanicznego charakteru zbiornika. Znowu jednak bardziej od pięknego krajobrazu cieszy nas możliwość ruszenia na szlak. Przez jeden dzień stajemy się częścią wyjątkowej grupy wędrowców, tych którzy co roku przemierzają Pacific Crest Trail. To najbardziej znany długodystansowy szlak pieszy w Ameryce. Przebiega wzdłuż zachodniego wybrzeża od granicy z Meksykiem, aż do granicy z Kanadą, łącznie liczy sobie 4270 km. Tak zwani „thru-hikers”, którzy przemierzają cały szlak za jednym razem, ruszają na trasę wiosną, a do celu docierają po pięciu–sześciu miesiącach wędrówki. Dla nas jednodniowy spacer był okazją do marzeń i snucia planów, żeby kiedyś zmierzyć się z całym szlakiem. Klika spotkanych po drodze osób ze społeczności PCT przekonywało nas, że marzenia, takie jak to, czasem się spełniają. Zobaczymy!



Ze smutkiem leśne ścieżki zamieniliśmy na wygodne siedzenia w autokarze i pomknęliśmy ku granicy z Kanadą. Gdzieś na północy stanu Oregon do kierownika wyprawy podeszli, ze zdecydowanymi minami, absolwenci. Jasne było, że szykuje się jakaś zmiana planów. Padło tylko jedno, konkretne pytanie: „Czy mamy może po drodze jakąś zaporę?”. Szybkie spojrzenie do kalendarza zakończyło się wnioskiem, że właściwie mamy jeszcze jeden–dwa dni zapasu, możemy więc poszukać zapory. Okazało się, że drobne zboczenie z kursu do Montany da nam możliwość zobaczenia trzeciej co do wielkości zapory w USA. Kiedy stanęliśmy u podnóża Dworshak Dam – liczącej sobie 219 metrów wysokości i kilometr długości – z naszych ust wyrwało się krótkie „wow!”. Widok ten uruchomił lawinę wspomnień, gdy szliśmy później do autokaru, opowieściom nie było końca, a historia wyprawy w Dolinę Bobru, którą odbyliśmy w maju 2018 roku rozrosła się do rozmiarów legendy. Dość powiedzieć, że w końcowej wersji opowieści było tak: po dotarciu do Zapory Pilchowickiej błędziliśmy w tamtejszych lasach przez kilka dni i cudem udało nam się wrócić do domu.

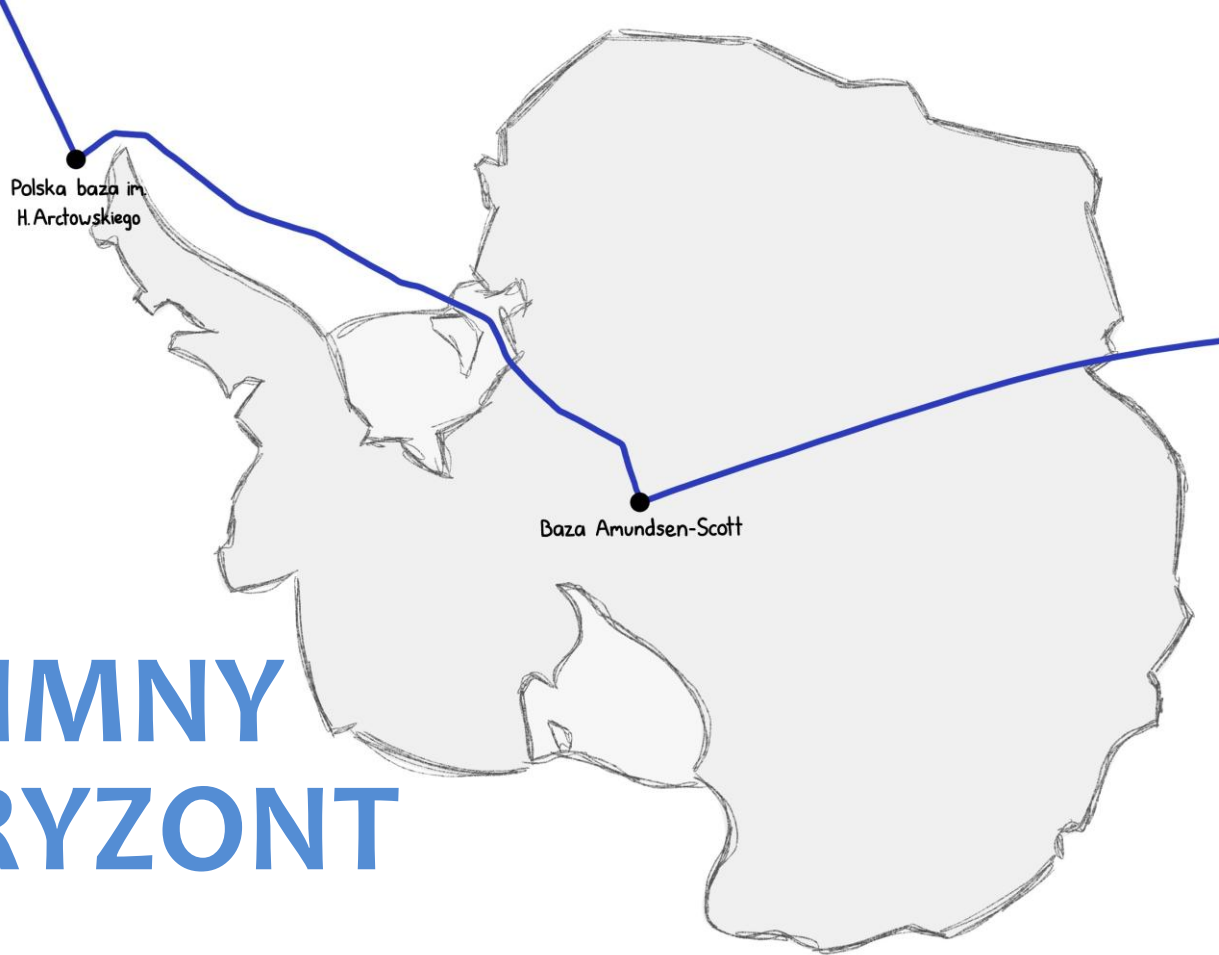


Pamiętkowe zdjęcie pod zaporą

Śpiesząc się do Anchorage, przekroczyliśmy granicę amerykańsko-kanadyjską i... Tutaj w naszej relacji pojawia się pewna luka. Notatki z tego fragmentu wyprawy zrobiła jedna osoba, przekazała kolejnej, która to poprosiła o pomoc w ich przechowaniu jeszcze kogoś innego. Po powrocie do Poznania każdy bezradnie rozkładał ręce... Szczegółowego opisu zatem zaoszczędzimy Drogiemu Czytelnikowi, nie chcąc przeinaczyć faktów. Stwierdźmy tylko, że Kanada to piękny kraj, z cudowną przyrodą, a nasza droga była długa i dość monotonna. Na całe szczęście w największym mieście Alaski zameldowaliśmy się na czas, to znaczy na dzień przed wypłynięciem naszego statku.

Kiedy na horyzoncie Ameryka znika we mgle, wspominamy spędzony tu czas i już planujemy powrót!

tekst: **Piotr Ciesielski**



Polska baza im.  
H. Arctowskiego

Baza Amundsen-Scott

# W ZIMNY HORYZONT

**T**ak już bywa, że nie można dogodzić wszystkim. Na świecie jest wiele problemów, o których ludzie dyskutują od lat i ciągle nie mogą dojść do porozumienia. Jednym z takich ogólnoświatowych dylematów jest ustalenie trasy wycieczki, przed jej rozpoczęciem. Zawsze kiedy jedziemy nad morze większą grupą, znajdzie się ta jedna osoba, która powie, że góry byłyby lepsze. Tak też stało się i na wycieczce dookoła świata. Grupa entuzjastów wyzwań, popularnie nazywana w Kole „sekcją wysokogórską”, nie była zachwycona pomysłem trawersowania długimi kilometrami przez prerie Ameryki Środkowej i kanadyjską tajgę. Dlatego stworzono drugi, bardziej ekstremalny wariant trasy, który rozpoczynał się w Nowym Jorku i kierował na południe, z ominięciem Ameryki Południowej, gdyż historie o porwaniach młodych ludzi „na organy” lekko przeraziły nawet grupę śmiałków, nie mówiąc już o opiekunach. Celem stał się jedyny bezpaństwowy kontynent – Antarktyda.

Rozstanie z resztą grupy w Nowym Jorku nie było łatwe. Miejsce ponownego spotkania nie było do końca ustalone, śpiesząc się na brytyjski samolot wojskowy lecący na Wyspę Wniebowstąpienia,



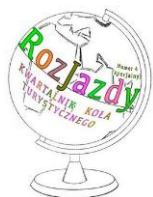
ktoś tylko krzyknął nieprecyzyjne: „Widzimy się w Indiach!”. Malutka wysepka, na którą dotarliśmy jeszcze tego samego dnia, żyła właściwie tylko dlatego, że znajdowała się tam baza wojskowa. Jako że jest to miejsce na środku oceanu, od razu nasuwa się myśl, czemu może służyć taka baza? Niestety, tego się nie dowiemy, bo całą noc musieliśmy spędzić w baraku, choć ktoś twierdził, że w nocy zobaczył przez okno podejrzany obiekt latający, wyglądem przypominający talerz...

Myśli o technologiach przyszłości rozwiązał nam jednak statek, który miał nas przewieźć prosto na Szetlandy Południowe. Wybudowany jeszcze przed drugą wojną światową lodołamacz USS Burton Island mimo swoich lat sprawnie pokonywał fale i rozbijał lody strefy podbiegunowej, bezpiecznie dostarczając nas oraz towary, które przewoził, do zatoki Admiralicji, gdzie znajduje się polska stacja antarktyczna im. Henryka Arctowskiego. Jako aktywna i ciekawa świata grupa, jak często reklamuje nas profesor Ciesielski nie sposób było w pierwszej chwili nie zadać pytania: „Kim był ten Arctowski?”. Oczywiście odpowiedź otrzymaliśmy natychmiast. Był to polski badacz antarktyczny, geograf, który uczestniczył w wyprawie statku „Belgica” razem z m.in. przyszłym zdobywcą bieguna południowego – Amundsenem. Statek utknął na 13 miesięcy w lodzie, co zmusiło uczestników do pierwszego w historii zimowania w strefie podbiegunowej, co z kolei dostarczyło wielu informacji zarówno na temat Antarktydy, jak i tego, w jaki sposób zachowuje się i z czym musi się mierzyć człowiek uwięziony w pobliżu Antarktydy w czasie nocy polarnej. Nam również ta historia przyniosła pewną lekcję. W planach mieliśmy przejść cały Półwysep Antarktyczny, zdobyć góry Ellswortha i – jako sekcja wysokogórska – wejść na najwyższy szczyt Antarktydy, czyli Masyw Vinsona, następnie przekroczyć Góry Transatlantyckie i dostać się na biegun południowy, żeby zrobić tam sobie pamiątkowe zdjęcie. Krótko mówiąc: w planach był właściwie trawers antarktyczny. Jednak po usłyszeniu mrozących krew w żyłach historii „z głębi kontynentu” i spojrzeniu na poziomice na mapie, ku naszemu zdumieniu dotarło do nas, że szczyty Antarktydy to wcale nie są małe pagórki, lecz potężne



góry, które przewyższają najwyższy szczyt Polski. Po krótkiej konsultacji z mieszkańcami stacji znaleźliśmy alternatywę – zdobycie Płaskowyzu Polarnego i bieguna południowego, co i tak miało już być pobiciem rekordu Koła w osiągniętej wysokości o ponad 1000 metrów, a następnie przemieszczanie się w kierunku Oceanu Indyjskiego.

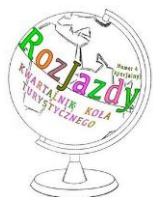
Zdobywcy  
bieguna  
południowego



Wyruszyliśmy, doposażeni dzięki uprzejmości, a może bardziej troski o nasze bezpieczeństwo, przez badaczy z polskiej stacji. Popłynęliśmy w stronę lodowca Ronne, który spływa do morza Weddella, skąd dalsza droga wydawała się najkrótsza. Chodzenie po śniegu na Antarktydzie nie było takie proste, jak mogłoby się wydawać. Śnieg w Poznaniu, jeśli ktoś go w ogóle widział ostatnio, jest szybko ubijany przez przechodniów, posypany piachem i solą, co ułatwia wygodne przemieszczanie się. Natomiast na Antarktydzie pięknie wyglądający biały puch, przesuwany przez wiatr sprawia, że trzeba przyjąć „technikę” jednego kroku w przód i dwóch w tył. Tym, co utrudniało nam przemieszczanie się najbardziej, były tak zwane zastrugi, czyli uformowane przez wiatr na podobieństwo fal pagórki ze śniegu, które sprawiły, że czas naszej podróży dramatycznie się wydłużył. Czasu na rozważania nad tym jednak nie było. Gdzieś za półmetkiem naszej trasy nastąpiło załamanie pogody. Ze wszystkich niebezpieczeństw czyhających na Antarktydzie najbardziej oczywistym wydaje się niska

temperatura, ale każdy, kto znalazł się w sytuacji podobnej do naszej, powie, że na pierwszy plan wysuwa się inny element pogody. Wiatr! Unoszący w powietrze śnieg, energicznie huczący – uderzał w nas swoimi lodowatymi powiewami. Mimo że nie był to najzimniejszy dzień i temperatura dochodziła „zaledwie” do –30 stopni Celsjusza, to teraz stało się naprawdę bardzo mroźnie. W dodatku widoczność spadła właściwie do zera, nikt nic nie widział, śnieg świszczął, wirując wokół nas. Chwila wydawała się w tych warunkach wiecznością, lód od razu osadzał się na wszystkim i powoli zmieniał nas w sople lodu. Żegnaliśmy się już z życiem i... nagle wszystko ucichło! Chmury nad nami rozwiały się, wyłaniając wierzchołki otaczających nas szczytów.

Przed nami, w odległości około dwóch kilometrów, ukazały się pomarańczowe punkciki. W przypiływie energii, prawie biegnąc, zbliżaliśmy się do czegoś, co przybierało kształt pojazdu. Przed nami była jedyna okazja, by złapać „arktycznego stopa”! Wiedzieliśmy, że nie wystarczy podniesienie kciuka, żeby zatrzymać gąsienicowe maszyny. Na szczęście w zestawie, który dostaliśmy jeszcze w Zatoce Admiralicji, znalazła się też flara sygnałowa. Użyliśmy jej. Zostaliśmy zauważeni i szybko zabrani, zanim okienko pogodowe się skończyło. Ratunkiem dla nas okazali się geolodzy badający teren, którzy właśnie wracali z próbkami do amerykańskiej stacji polarnej Amundsen-Scott. Znajduje się ona u celu naszej podróży, czyli na biegunie południowym. Dotarliśmy tam i w stacji przeczekaliśmy zamieć śnieżną. Nie było nudy – na stacji znajduje się biblioteka, siłownia, a nawet pokój muzyczny. Jednak tym, co najbardziej umiliło nam pobyt, okazały się opowieści gospodarzy tego miejsca, na przykład o brawurowym locie na biegun południowy podczas zimy polarnej. Nie wszystkie z tych historii – jak choćby ta o „morderstwie” na biegunie południowym, czyli niewyjaśnionej śmierci astrofizyka na stacji w 2000 roku – miały tak dobre zakończenie jak nasza przygoda pośród lodów Antarktydy.



tekst: Igor Stryniak





U źródła, czyli w poszukiwaniu najlepszej drogi





# OCEAN HISTORII



**Z**e stacji Amundsen-Scott zabrał nas samolot i poleciliśmy do stolicy Australii. Pociągiem relacji Melbourne–Townsville przeprawiliśmy się przez zachodnie wybrzeże tego jedynopństwowego kontynentu. Zawsze, myśląc o kolei w Australii, wyobrażałem sobie ciągnące się kilometrami wagony, przejeżdżające przez pustkowia, mijające jedynie skały i dzikie zwierzęta. Na początku, gdy jechaliśmy w stronę Sydney łukiem wokoło góry Kościuszki, moje wyobrażenia się sprawdziły, jednak za Brisbane... Ani nasz pociąg nie był specjalnie długi, a nawet mijające nas składy towarowe nie wyglądały na krótsze. Poza tym krajobraz okazał się wręcz przeciwieństwem wyobrażeń – jechaliśmy przez środek lasu równikowego! Trzeba przyznać, że było to ciekawsze niż nieskończone stepy.

Mimo że byliśmy już mocno spóźnieni w naszej podróży do Indii, nie mogłem się powstrzymać – jako wielki fan drugowojennych historii morskich – żeby zahaczyć o Wyspy Salomona, przede wszystkim jedną, małą wyspę, która przez rok stała w centrum uwagi dwóch morskich tytanów. Pozostali uczestnicy wyprawy dali się namówić i tak wyruszyliśmy w stronę Guadalcanalu...

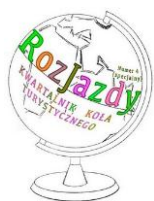
Od popołudnia płynęliśmy właściwie z maksymalną prędkością. Od strony wysp Nowej Brytanii weszliśmy już w wewnętrzny pierścień łańcucha wysp Salomona i przepłynęliśmy przez cieśninę Bougainville, gdzie zwiększyliśmy prędkość do ponad 24 węzłów. Stojąc na mostku kapitańskim, obserwowałem szyk. Było tuż przed zmrokiem. Na czele płynął nasz okręt, a za nami szły równo cztery ciężkie krążowniki, potem wtórowały im dwa lekkie i jeden niszczyciel. Kapitan przeczytał rozkaz bojowy od samego admirała: „Wspomagani najpiękniejszymi tradycjami Cesarskiej Marynarki, pójdziemy do nocnego ataku na przeciwnika. Od każdego oczekuje się, że uczyni wszystko, na co go stać”. Patrząc na słońce zachodzące za burtą naszego pasażerskiego statku, myślałem o tym lakonicznym rozkazie, tak podobnym do innego, wydanego przez brytyjskiego admirała tuż przed bitwą pod Trafalgarem, i dalej wyobrażałem sobie, jak by to było towarzyszyć admirałowi Mikawie...

– Okręt z prawej burty!

Szybciej niż pomyślałem, co to oznacza, usłyszałem odpowiedź:

– Ster lewo na burt!

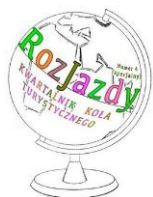
To jest ta chwila, ten moment ciszy i skupienia, kiedy łapiesz pierwszy kontakt, domyślam się, wiem, że bitwy morskie ciągną się godzinami, jednak o ich rezultatach decydują często pierwsze minuty. Okręt zaczął skręcać, kierując całą swoją siłą bojową w stronę nieświadomej ofiary. Jednak ta... po prostu odpłynęła. Był to co najwyżej niszczyciel, a my polowaliśmy na coś większego. Zapadła cisza, nikt nic nie mówił. Wszyscy w skupieniu wykonywali przydzielone im zadania. Nagle z ciszy wyrwała nas komenda: „Krażownik, lewo 7 stopni!”. Wszyscy obrócili głowy w podanym kierunku. Chwilę później padła kolejna komenda: „Trzy krążowniki, prawo 9 stopni!”. W tym samym momencie flara z samolotu rozświetliła pole bitwy, która miała się za chwilę rozegrać, tuż koło wyspy Savo. Rozkazy leciały w powietrzu tak samo szybko jak krople wody idące od szkwału, który zerwał się nad nami. Zwieńczeniem tego rytmicznego zgiełku raz po raz było hasło





„Pal!”, po którym po paru sekundach następował huk. Noc zamieniła się na chwilę w dzień, a potem – wraz z następującym świstem, trzaskiem i piskiem – powracała do stanu mroku. Mroku, który był chwilą oczekiwania. Opcje były dwie: albo usłyszysz dudnienie w oddali, albo nic się nie zmieni i wszystko po prostu zacznie się od początku. W tym przypadku była to opcja pierwsza. Po niecałych dwóch minutach potencjalny przeciwnik był już tylko ofiarą, a w zasadzie płonącym żelazem powoli idącym na dno.

Tak właśnie wyobrażałem sobie wydarzenia sprzed 79 lat, podczas przepływania przez „cmentarzysko wraków” na wodach wokół Guadalcanalu. Tamtej sierpniowej nocy 1942 roku japońskie okręty oprócz opisanego w historii krążownika „Canberra” zatopiły jeszcze trzy inne duże alianckie jednostki i uszkodził trzy kolejne, nie tracąc przy tym żadnej własnej. Może jednak coś jest w tych krótkich rozkazach przed bitwami, bo i Mikawa, i Nelson odnieśli wielkie zwycięstwa. Zawsze gdy sobie przypominam historię takiej bitwy, szybko uświadamia mi ona, jak straszna jest wojna. Podczas bitwy koło wyspy Savo zginęło blisko 1200 osób, jest to liczba przekraczająca stan uczniów uczęszczających do LO IX. A przecież była to tylko jedna z wielu bitew morskich na Pacyfiku, nawet nie jakaś wyjątkowa, decydująca o czymkolwiek, oczywiście jeśli pominiemy zakończenie życia tylu ludzi...



Tak, podróże to nie tylko zwiedzanie. To także okazja do rozmyślań, zwłaszcza podczas dłużących się nieraz przejazdów. Ale najwyższa pora rozejrzeć się wokół. Gdzie jesteśmy? Z Guadalcanalu udaliśmy się samolotem do Singapuru, największego portu na świecie. Nie spędziliśmy tu zbyt dużo czasu, gdyż musieliśmy „łapać” tani transport w kontenerowcu prosto do Kalkuty, gdzie oczekiwał nas, wcześniej wykupiony, transport autokarowy do Nowego Delhi (jechało się nim jak busikiem nad Morskie Oko). W stolicy Indii szczęśliwie połączyliśmy się znów w jedną dużą grupę.

tekst: Igor Stryniak



**P**o budżetowej podróży na kontenerowcu płynącym z Anchorage do Seulu, przez mroźny i mglisty archipelag Aleutów, można by stwierdzić, że przenieśliśmy się w czasie. Podróż, która powinna trwać 14 dni, zajęła 15. Grupa ochotników wybierała się już do kapitana, aby wyjaśnić nieścisłość, jednak ich zapał został szybko ugaszony przez informację o przekroczeniu linii zmiany daty. Musieliśmy pogodzić się z tym, że nasza podróż przez Ocean Spokojny, w odróżnieniu od tej Philieasa Fogga, nie przyniesie nam dodatkowego dnia.

Pozostawało nam się cieszyć widokami nowego kontynentu, a konkretniej – stolicy Korei Południowej. Seul jest domem dla ponad 10 milionów ludzi. Znajduje się tu również najlepszy uniwersytet w Korei. My jednak nie skupimy się na historii tego pięknego miasta, tylko na jego atrakcjach. Pierwszym miejscem w Seulu, do którego trzeba się udać, jest osławiona hitem muzycznym z 2012 roku dzielnica Gangnam. Znajduje się tu dużo centrów handlowych, restauracji oraz siedzib wytwórni muzycznych. Zatrzymaliśmy się w jednym z tutejszych pubów karaoke, co było niezłą odskocznią od trudów podróży i interesującym pomysłem na to, jak można spędzić czas, czekając na posiłek. Zjedliśmy osławione Koreańskie BBQ, czyli mięso, do którego dodaje się wiele przystawek, typu: kimchi, sałata lub tofu.

Następnego dnia przyszedł czas na zwiedzanie! Na początku udaliśmy się do pałacu Changdeokgung, czyli byłej rezydencji cesarza Korei. Pałac ten, wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO, zrobił na nas niesamowite wrażenie. Na finał poszliśmy do Wieży N Seoul, na szczycie której znajduje się taras widokowy, gdzie zrobiliśmy sobie pamiątkowe zdjęcia, oczywiście z panoramą miasta w tle.

Nazajutrz wyruszyliśmy dalej – pociągiem szybkich prędkości do Pusanu. Do tej metropolii dotarliśmy rano. Przywitał nas piękny widok porannego morza, charakterystyczny dla tego największego miasta portowego w Korei. Dlatego już na samym starcie udaliśmy się na plażę Haeundae, gdzie zrobiliśmy sobie długi spacer. Po nadmorskiej wędrówce skierowaliśmy się do parku Yongdusan, gdzie podziwialiśmy architekturę i przyrodę Azji Wschodniej, tak inną od znanej nam europejskiej. Po opuszczeniu parku ruszyliśmy, by zaznać kolejnej egzotycznej atrakcji, jaką okazał się na market Jagalchi – największy rynek z owocami morza w Korei. Spróbowaliśmy, nie bez obaw, lokalnych przysmaków, typu kraby czy ośmiornice (nietoperzy na szczęście nie było). Na zakończenie wycieczki po mieście udaliśmy się na most Gwangan, z którego podziwialiśmy parostatki pływające po zatoce.



Z miasta portowego nie wypadało wyjechać inaczej niż statkiem. Nasz parowiec płynął na wyspę Jeju, nazywaną Koreańskimi Hawajami. Wyspa ta słynie z zapierających dech w piersiach widoków oraz piaszczystych plaż. Nic dziwnego, że wielu Koreańczyków wybiera to miejsce na spędzenie miesiąca miodowego. Jednak my, zamiast odpoczywać, wspięliśmy się na wulkaniczny stożek Seongsan Ilchul-bong. Po obejrzeniu zapadającego w pamięć widoku ze szczytu, zeszliśmy, aby podziwiać charakterystyczną dla wyspy architekturę, czyli domki z czarnych skał wulkanicznych. Po przenocowaniu w jednym z nich udaliśmy się na lotnisko w celu opuszczenia Korei i wyruszenia do Indii. Korea zaskoczyła nas pięknymi widokami, ciekawą architekturą





W egzotycznym ogrodzie

oraz bardzo rozwiniętymi, nowoczesnymi miastami. Warto również wspomnieć o uprzejmości mieszkańców oraz niecodziennych smakach tutejszej kuchni. Z żalem opuszczaliśmy ten kraj, aby wyruszyć dalej.

Lot zmierzał prosto do stolicy Indii – Nowego Delhi. Pierwsze wrażenie, którym uraczyło nas to miasto, to gigantyczna liczba ludzi na ulicach. Jest to coś, z czym trzeba się liczyć, będąc w Indiach. Skala zatłoczenia jest tu niebywała. Nasze zwiedzanie rozpoczęliśmy od słynnego Czerwonego Fortu, czyli rezydencji królów, potem udaliśmy się do meczetu Dżama Masdżit – miejsca, w którym łączą się architektoniczne wpływy hinduskie i muzułmańskie. Budowla ta idealnie przenosi odwiedzających w „stare realia” nowej stolicy Indii. Po wizycie w świątyni przyszedł czas na obiad. Zjedliśmy go w dzielnicy Chandni Chowk, gdzie zakupiliśmy też parę pamiątek. Będąc w Nowym Delhi

zobaczyliśmy również słynną Bramę Indii, czyli pomnik ku czci Hindu-  
sów poległych podczas pierwszej wojny światowej.

Około 200 kilometrów od Delhi znajduje się miasto Agra, na  
terenie którego leży wszystkim znany Taj Mahal. Jest to mauzoleum  
ku czci żony Sułtana Szahdżana. Obiekt został zbudowany właśnie  
przez owego władcę i jest często nazywany świątynią miłości. Po obej-  
rzeniu z bliska jednego z siedmiu cudów świata udaliśmy się pocią-  
giem do Kalkuty. Miasto to jest znane z działalności Matki Teresy. Gdy  
dotarliśmy na miejsce, naszym celem zwiedzania były relikty potęgi  
imperium brytyjskiego z okresu kolonialnego, czyli Victoria Memorial  
Hall. Burzliwa historia i kolonialna przeszłość Indii zaintrygowała nas,  
jednak tłumy ludzi sprawiły, że spędziliśmy w tym miejscu zdecydo-  
wanie za dużo czasu i nie mieliśmy już go na tyle, by móc zachwycać  
się innymi przykładami kultury tego różnorodnego kraju. Potrzebo-  
waliśmy też odpoczynku. Dlatego postanowiliśmy jak najszybciej od-  
wiedzić wyspę Goa.



Wyspa ta – określana jako „najmniej indyjski kawałek Indii” –  
jest idealnym miejscem na ucieczkę przed hałasem i nieciekawą  
codziennością tego kraju. Goa to dawna kolonia Portugalii, tutejsze  
budowle przypominają do złudzenia portugalskie, nadatlantyckie  
zabudowania. Wyspa nadaje się doskonale na spędzenie „rajskich  
wakacji”. Piaszczyste plaże przeplatają się tu z wielkimi hotelami,  
w których my – z powodów oczywistych dla charakterystyki wycie-  
czek szkolnych – nie mogliśmy zbyt długo zabawić. Ruszyliśmy więc  
w dalszą drogę, pozostawiając Indie za sobą. Podróż zaczynała nam się  
już trochę dłużyć, a przecież czekała nas jeszcze przeprawa przez  
Afrykę.

tekst: **August Kowalski**





# NA PÓŁNOC DO DOMU

**K**ontynuujemy naszą podróż od portu w Mombasie, do którego przybyliśmy z Indii po długiej podróży przez Ocean Indyjski. Jest to niezwykle miasto, położone w większej części na wyspie koralowej. Miasto nazywane biało-błękitnym od charakterystycz-





Mombasa

nych kolorów budynków, piasku plaż i błękitu oceanu. Zostało założone przez arabskich kupców około 900 roku. Pierwszym Europejczykiem, który dotarł do miasta był Vasco da Gama w 1498 roku. A mnie kojarzy się przede wszystkim z przygodami Stasia i Nel i ich niezwykłą wędrowką w kierunku wschodniego wybrzeża.

Kenia to niebywale zróżnicowane pod względem kulturowym i językowym państwo. Mieszkają w nim ludy Bantu, ludy kuszyckie, Niloci (Masajowie), grupy Arabów, Azjatów i Europejczyków. W kraju funkcjonują dwa języki urzędowe – angielski i suahili, lecz w całym państwie występuje ich około 44. Ta liczba robi wrażenie!

Na pograniczu Kenii i Etiopii położone jest jezioro Turkana, wokół którego zlokalizowane są trzy parki: South Island National Park, Central Island National Park i Sibiloi National Park, prezentujące zachwycającą przyrodę. Miejsce to jest znane na całym świecie z jesz-



Położenie jeziora Turkana oraz najstarsze narzędzia otoczkowe kultury olduwajskiej (po lewej)  
Bawół afrykański (po prawej)

cze jednego powodu – odkrycia tutaj najstarszych narzędzi wykonanych przez naszych przodków *Homo habilis* około 2,6 mln lat temu. Szkoda, że nie możemy tego zobaczyć, gdyż nasz droga biegnie przez środkową część Kenii do Sudanu Południowego.



Wjeżdżamy do Południowego Sudanu, który powstał zaledwie 10 lat temu, w wyniku odłączenia się od Sudanu. Zakończyło to najdłużej trwającą wojnę domową w Afryce. Sudan Południowy zamieszkiwany jest przez ponad 200 grup etnicznych, a językiem urzędowym jest angielski i arabski. Niestety, większość dzieci poniżej 13 roku życia nie uczęszcza do szkoły, a ponad 80 procent kobiet nie potrafi czytać. Jest to również państwo o jednym z najgorszych wskaźników zdrowotnych, a poważnym zagrożeniem jest także głód i brak dostępu do wody pitnej. Na południu kraju, w pobliżu granicy z Kongo, park narodowy zamieszkuje stada bawołów afrykańskich, słoni, żyraf i lwów.

Kolejny etap naszej podróży to droga biegnąca na północ, w kierunku Sudanu, z jego stolicą w Chartumie. Kraj ten ma niezwykle bogatą historię. Zasiedlony był już IX tysiącleciu p.n.e. przez ludy łowiecko-zbierackie. W starożytności na północy Sudanu istniało Królestwo Kusz, którego władcy w wiekach VI i V p.n.e. na prośbę części kapłanów egipskich podbili na 100 lat Egipt, tworząc 25. dynastię egipskich tzw. Czarnych Faraonów.





Chartum — widok na centrum miasta z mostu na Nilu



Zmierzamy w kierunku północnym, wzdłuż Nilu. Po drodze mijamy Chartum i z oddali widzimy wspaniałe wieżowce w kształcie kości słoniowej, statku, żaglowca, a po drugiej stronie — tradycyjne okrągłe chaty wykonane z gliny, z dachami z liści palmowych.

Następne godne uwagi miejsce, które odwiedzamy, to starożytne miasto Meroe, położone pomiędzy VI a V kataraktą na Nilu, ze wspaniałymi piramidami, wpisanymi na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

Jeszcze chwila i będziemy w Egipcie. Tu zatrzymamy się na dłużej. Nie sposób przecież nie zobaczyć tych wszystkich cudów starożytnej cywilizacji. Jednak podróż przez pustynię jest bardzo uciążliwa... Na szczęście nie doświadczyliśmy zjawiska fatamorgany.

Najpierw Abu Simbel, licząca 3000 lat świątynia Ramzesa II, dalej Luksor oraz świątynie w Karnaku i Luksorze oraz Dolina Królów, Kolosy Memnona, a na koniec *crème de la crème* naszej podróży, czyli kompleks piramid w Gizie i majestatyczny sfinks. Ciekawe, czy i nam zada jakąś zagadkę...





Świątynia Ramzesa II w Abu Simbel

Podążamy dalej, naszym celem jest Kair. Gdy przybywamy na miejsce, miasto ogłusza nas swoim gwarem, rwącym potokiem samochodów, tłumem ludzi i feerią barw. Następnie kierujemy się w stronę Aleksandrii, skąd jedziemy do Trypolisu, stolicy Libii.

W Trypolisie oglądamy tylko łuk triumfalny Marka Aureliusza i biegniemy na lotnisko, z którego lecimy do Rzymu, a stamtąd do Bari, na wschodnim wybrzeżu Półwyspu Apenińskiego. W średniowieczu miasto to było punktem zbornym rycerstwa ruszającego na wyprawy krzyżowe. Mnie kojarzy się głównie z naszą królową Boną, która nosiła tytuł księżnej Bari.





Sarajewo

Z Włoch zamierzamy przedostać się do Chorwacji. Pomocne w realizacji tego planu jest połączenie promowe z Bari do Dubrownika. Szybki przejazd przez Chorwację — i oto już jesteśmy w Bośni i Hercegowinie. Tu chcemy zobaczyć Sarajewo.

To miasto-symbol. Zamach w Sarajewie 28 czerwca 1914 roku na następcę austro-węgierskiego tronu arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i jego żonę Zofię stał się symbolicznym początkiem pierwszej wojny światowej. Kilkadziesiąt lat później, 6 czerwca 1992 roku rozpoczęło się oblężenie Sarajewa przez bośniackich Serbów, które trwało do końca października 1995 roku. Zginęło ponad 10 500 osób, praktycznie wszystkie budynki zostały zniszczone lub uszkodzone. Pamięć o tych ostatnich wydarzeniach jest w mieście dostrzegalna.





Belgrad. Kalemegdan — widok na wieże

Dalej zmierzamy w kierunku północno-wschodnim, do Serbii. Państwo to powstało 5 czerwca 2006 roku po rozpadzie federacji Serbii i Czarnogóry. Po drodze zwiedzamy stolicę kraju — Belgrad, a także Nowy Sad oraz Suboticę. W Belgradzie duże wrażenie robi na nas kamienna forteca z czasów imperium osmańskiego, leżąca u ujścia Sawy do Dunaju, o nazwie Kalemegdan.

Z Bałkanów kierujemy się do Budapesztu, stolicy Węgier. Będąc na miejscu, nie zapominamy o spojrzeniu na słynny budynek parlamentu, który był budowany przez 19 lat. Jego długość wynosi 265 metrów, a w środku znajduje się aż 691 pomieszczeń. W okazałej budowli przechowywana jest największa relikwia narodu węgierskiego — korona świętego Stefana.





Budapeszt — widok na budynek parlamentu od strony



Jeszcze na pożegnanie, by jak najdłużej zapamiętać wrażenia, zjadamy słynny tort Esterhazych, składający się cienkich orzechowo-bezowych plastrów przełożonych grubo waniliową masą. Pyszny!

Z Budapesztu mkniemy do Bratysławy, a następnie kierujemy się na północny wschód, przez słowackie Nowe Miasto nad Wagiem i Powaską Bystrycę – do Wisły. Nie mamy czasu na zwiedzanie, spieszymy się do domu, za którym zdążyliśmy już zatęsknić. Pozwalamy sobie tylko na krótki odpoczynek w Wiśle, rodzinnym mieście naszego najbardziej utytułowanego skoczka, czyli Adama Małysza.

Z beskidzkiego zakątka do Poznania to – w porównaniu z całą przebytą przez nas trasą – jedynie „rzut beretem”. Przejazd koleją znad źródeł rzeki Wisły do grodu nad Wartą, chociaż z dwiema przejazdami, minął nam prawie niezauważalnie. Nareszcie w domu!

tekst: **Michalina Tabaka**



# Koniec?

Wszystko, co dobre, kiedyś się kończy. Tak też zakończyła się nasza wyprawa. Relację z jej przebiegu przedstawiliśmy na poprzednich stronach. Ostatnia kreska na naszej mapie wreszcie połączyła się ze startem i jednoczesnym finiszem trasy narysowanej na kartce z konturami świata. Odwiedziliśmy w ten sposób niektóre z wymarzonych przez członków Koła miejsc. Wszystkie one są warte zobaczenia podczas urzeczywistnionych podróży. W przypadku naszego Koła Turystycznego te punkty na mapie świata – ale też wiele innych, dalszych i bliższych – są w planach na przyszłość. Koniec jednej, niech będzie początkiem następnej wyprawy!



# Pismo „Rozjazdy”

kwartalnik / nr 4 / kwiecień – czerwiec 2021



Wydawca:

Koło Turystyczne im. Tadeusza Perkitnego  
i Leona Mroczkiewicza w IX LO w Poznaniu

Opiekun wydawniczy: Piotr Ciesielski

Redaktor naczelny: Igor Stryniak

Grafika, rysunki: Milena Podlas i Helena Olachowska

Promocja: Wojciech Pruss

Zdjęcia w numerze: Kronika Koła Turystycznego

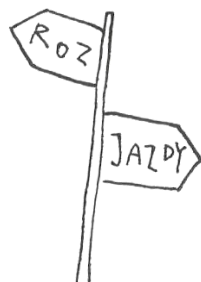
oraz na stronach 30-36: <https://ogavenue.com/blog/ke/wp-content/uploads/sites/2/2019/01/Mombasa.jpg>; <https://sites.google.com/site/najniebezpieczniejszezwierzeta/home/zarlacz-bialy/czarna-mamba/bawol-afrykanski>; Chartum - fot. I. Sobkowiak-Tabaka; [https://pl.wikipedia.org/wiki/Abu\\_Simbel#/media/Plik:Abu\\_Simbel\\_Main\\_Temple\\_\(2346939149\).jpg](https://pl.wikipedia.org/wiki/Abu_Simbel#/media/Plik:Abu_Simbel_Main_Temple_(2346939149).jpg); <http://www.stacjabalkany.pl/11-najpiekniejszych-zdjecia-sarajewa/>; [https://pl.wikipedia.org/wiki/Kalemegdan#/media/Plik:Kalemegdan\\_Belgrade1.jpg](https://pl.wikipedia.org/wiki/Kalemegdan#/media/Plik:Kalemegdan_Belgrade1.jpg)



A znaleźć nas można również

na Instagramie

oraz Facebooku.



Drogi Czytelniku i Droga Czytelniczko,

mamy nadzieję, że ten numer „Rozjazdów” okazał się pożyteczny, interesujący czy po prostu przyjemny. Jeśli chciał(a)byś go współtworzyć i dołączyć do naszego zespołu, to serdecznie zapraszamy do kontaktu pod adresem: [rozjazdy@glopoznan.pl](mailto:rozjazdy@glopoznan.pl)